

JERZY BRAUN.



Opowieść nowa.

(Ciąg dalszy).

Gdy napadam na krokodyla,

to on patrzy głupio, jak cię antylopy
i rusza ogonem — a potem ucieka —
i myśli wtedy troszkę prędzej —
ot tak:

— O, o, o, —
co to — co to — co to —
do wody — do wody
szust — chlup
a, a, a,
en — la — la
o, o, o,
do wody —
prędko — szybko
chlup! — — —

i już go mam.

Staję na nim nogami —
przyklepam go do ziemi,
jak rozplaszczony banan,
a on rozwiera szeroko szczęki,
aż mu widać chropawe dziaśła
i milczy...

Ja zaś odchodzę bez wyrzutów sumienia —
— bo krokodyl jest gad —
podłużne, płaskie zwierzę —
ma zimną, lepłą krew
i nie umie wydawać głosu.
Jest drętwy, drewniany i głupi, jak trawa.

Piękna jest rzeka.

Płynie w niej woda powoli, uważnie
przelewając się z chlupotem po kamieniach
milcząco, uroczyście, usypiająco — — —
płynie woda — i chlupie —
powoli — raz dwa — raz dwa —
zapach jej jest słodki i przyjemny.
Stoję na brzegu —
jest ciche południe —
słońce skwarzy żółto —
powietrze drga i podskakuje —
rozgrzana woda drga
i faluje — — —
Zamurzam koniec trąby
u samego brzegu we fale
i nie spieszę się, jak trwożne jelenie —

piję z namysłem, smakująco,
a przyjemne, mokre uczucie przepływa mi
gulgocząc przez skórzaną rurę trąby —
wlewam napój w gardło,
jest mi świeżo,
żołądek mruczy —
a naokoło jest cichutko, uroczyście. —
Po obu biodrach rzeki
stoją wyprostowane piersi lasów —
drzewa sztywne, umaczone nogą w ziemi
rozmierzwiony łeb wtykają w niebo
i jest im bardzo gorąco.

One kiedy milczą
to całkiem inaczej, jak krokodyl.
Czuć w tem zamyśloną powagę
i nie było co. —
One słuchają, jak solki pulsują im w pniach,
jak się gałęzie rozrastają wszecz,
jak twardnieją, krzepczają i dojrzewają.

A tu tymczasem
rzeka chłodna
w korycie
płynie, pluszcze, chlupota, klekota
plusk — plusk
chlup — chlup
po kamyczkach, po piaseczku mięciutkim.
Liany wiszą, jak kudły małp nad wodą.
Jaskrawozielone papugi drą się: kroi — kroi —
i w prostych linjach
przecinają błękitne powietrze. —
małpy, długorekie gibbony, grivety
skaczą hyc, hyc po gałęziach
i wiszą na ogonach
i wrzeszczą,
aż się echo gdzieś tłucze po Puszczy.
Stoi stoi nad wodą i milczy.
pijąc powolutku, —
las chwieje wierzchołami i milczy —
— czasem szum, szelest, łomotanie wiaterek —
woda lodowata luźno przelewa fale —
pluszcze, chlupie leciutko po kamyczkach
i milczy — — — — —

I tak minęło wiele lat.

Ja byłem już stary —
Byłem mocny, jak dwadzieścia czarnych bawołów.
Rośliny przestały być moją wyłączną pastwą.
Zabijałem antylopy, węże i kozy —
Zabijałem nosorożce —
— których garb przysmakiem jest dla ludzi —
i poznażyłem grunt Puszczy krwawo.

I tak minęło wiele lat.

Ojciec mój przestać żyć
— i pobiegł do Raju Słoni.
odgryzać gałązkę akacji,
ciało Matki zjadły krokodyl.
Przybyło wiele szczegółów w Puszczy,
których nie mogłem przedtem zauważyć.
Bo głowa moja myślała coraz szerzej.